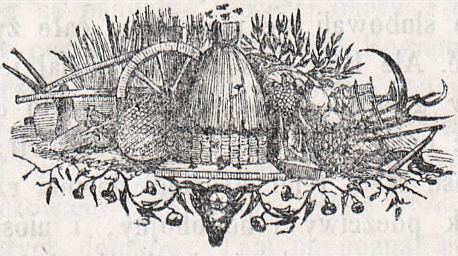
Tom I. **Nr. 12.**

21. Października **1859.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

PODANIE

O ŚWIĘTYCH PUSTELNIKACH W KAZIMIERZU.

W bujnej Wielkopolsce od strony lesistego Mazowsza leży miasteczko Kazimierz, gdzie dziś nie znajdziecie więcej nad stokilkanaście domów; a przecież jest to miasteczko sławne na całą polską ziemię, z historji o pustelnikach, jaka tu z dawnych już czasów się utrzymała. Posłuchajmyż jak to było:

Jeszcze za króla Bolesława Chrobrego nic nie było w onem miejscu, gdzie dziś leży Kazimierz jeno puszcza głęboka szumiała gawędząc z wiatrami. I otóż w tamtych to najdawniejszych czasach przybyło pięciu pustelników z dalekiego kraju na oną puszczę głęboką. Nazywali się oni po imieniu: Jan, Mateusz, Izaak, Krystyn i Barnabasz. Najstarszy pomiędzy nimi był Barnabasz. — A jak ci tam przyszli, tak wnet pobudowali sobie chaty na mieszkanie, i z całem sercem jęli się do nauczania ludu okolicznego. Reszta zaś czasu wolnego obracali na obrobienie twardego kamienia, z którego kiedyś za Boską pomocą chcieli sobie na tej puszczy

kościółek wystawić. Przy tak ciężkiej pracy skromni byli w jadle i napoju. Żywili się tylko korzonkami i warzywem, które w ogródkach swoich sadzili. Mięsa ani ryby nie smakowali nigdy; bo mięsa ślubowali nie jeść przez całe życie a ryb nie mieli czem łowić. Ale Bóg litościwy nie chciał ich opuścić przy ciężkiej pracy w głodzie i niedostatku, bo kto chce pracować, sił mu potrzeba; owóż tedy taki im cud sprawił:

Jednego czasu szedł temi stronami pewien rzeźnik z Gniezna, takoż człek poczciwy i bogobojny, i niósł kawał mięsa dla swego brata, co tam gdzieś dalej mieszkał; a kiedy tu w tę okolicę zaszedł w czasie południa, ujrzał pięciu biednych pustelników, jak lichą strawę, z korzonków sporządzoną, zajadali, modląc się. Otóż ulitował się nad nimi poczciwy rzeźnik, a że był dobrym chrześcijaninem, chciał im to dać, co niósł dla brata; ale pustelnicy przyjąć nie mogli, a Barnaba rzekł mu: że mięsa jeść im nie wolno. On rzeźnik zaczął się im dziwować i żałować, że nie jest rybakiem, bo wtedy nie mięso zapewne, ale rybę niósłby dla brata, i mógłby pustelników nakarmić; — co, że szczerze mówił, Pan Bóg wszechmocny oczywiście pokazał, bo naraz owe mięso przemienił w rybę bardzo wielką i piękną. Zdumieli się wszyscy niepomału; a rzeźnik poczciwy, upadłszy na kolana, dziękował Panu Bogu za to, że go wysłuchać raczył, i oddał rybę Barnabie, który ją pobłogosławił, a odciąwszy głowę, sprawił, i upieczoną pożył razem z drugimi i owym rzeźnikiem, modląc się Panu; głowę zaś wpuścił do małej studzienki, którą miał przy swej pustelni, bo mu tak głos Boży rozkazał w jego duszy. Owóż nazajutrz, kiedy się znowu wszyscy koło południa zeszli na objad, po odprawionych modlitwach poszedł Barnaba do swojej studzienki i łowić w niej zaczął, bo mu znowu głos Boży w jego duszy tak zrobić rozkazał; i ku zdziwieniu wszystkich wydobył z niej rybę w całości taką, jak wczoraj odebrał z rąk rzeźnika, a pobłogosławiwszy obciął głowę, rybę upieczoną spożył z braćmi swymi, a głowę do studzienki wpuścił. Nazajutrz ryba znowu odrosła w całości, i tak cud ten codzień się powtarzał i żywił biednych pustelników; a choć to cud wielki i niepojęty, to i moc Boska wielka i niepojęta; a jego łaska nieustająca nigdy nie wy-

sycha, jak owa woda tej studzienki, za której pomazaniem dzisiaj jeszcze nie jeden wzrok odzyskiwał, i pozbywał się różnych chorób, jakoby na pamiątkę szczerej ofiary i dobrego uczynku, któremi się ów poczciwy rzeźnik przed Bogiem zasłużył. Aliści i zgorszenia przyjść muszą, jak Chrystus pan uczy. Owóż tedy zdarzyło się w parę lat później, że król Bolesław Chrobry w te strony zajechał na łowy, a uganiając po puszczy, zawinął na miejsce wykarczowane ręką ludzką, gdzie było trochę uprawnej roli i kilka małych domków. Tam on poznał się z tymi pustelnikami, dziwił się ich świętobliwemu życiu i niezmordowanej pracy, a widząc zarazem ich ubóstwo i nędzę, chciał im jakoś dopomódz i po królewsku łaskę swoją okazać. Oddał im przeto wszystko srebro i złoto, jakie miał ze sobą i na sobie, wyobrażając sobie jako człowiek światowy, że całem szczęściem na świecie jest ta mamona mizerna, a nie wiedział zasię, że owi pustelnicy na ubóstwo ślubowali Bogu. Oni mu też tego nie rzekli, czy to ze strachu przed tak wielkim i potężnym królem, czy też może złe ich skusiło; boćto i na świętych przychodziły pokusy, które niezawsze mogli zwyciężyć. Dosyć, że bogactwa przyjęli. A patrzyli na to dworzanie królewscy i zazdrościli im, mówiąc do siebie, że lepiejby ich użyć mogli na dworze, niż oni na puszczy. Owóż stało się dalej, kiedy król odjechał, a objadowa godzina nadeszła, że się pustelnicy zebrali u swego przełożonego Barnaby, który na ustroniu zamieszkały, o tem, co zaszło, nie wiedział, i po dawnemu, odmówiwszy modlitwy, pobiegł łowić rybę w studzience. Aliści tą razą wyłowił jeno głowę niedorośniętą, a spojrzawszy na braci, widział wstyd ich i pomięszanie, i rzekł zasmucony: — bracia, zgrzeszyliście! — Oni też przyznali się zaraz do winy, a widząc wyraźny gniew Boży, postanowili przebłagać go ciężkiemi pokutami, które sami na się nałożyli; Barnaba zaś postanowił zwrócić królowi, co jest królewskiego, i wnet zabrawszy skarby zostawione, udał się z niemi do Gosławic, gdzie król na wypoczynek zwykle wieczorem z łowów powracał. Tu czekał na niego do nocy, a uzyskawszy wreszcie posłuchanie, stawił się przed nim w pokorze i rzekł: — Królu miłościwy! jestem Barnaba, pustelnik i najstarszy brat tych czterech, których dzisiaj przez niewiadomość

pokusiłeś do grzechu. Ślubowaliśmy na ubóstwo, a oni od ciebie złoto przyjęli. Dałeś im skarby tego świata, a odebrałeś skarb niebieski, to jest nieustającą łaskę Pana. Odbierz królu, co twego, a przyczyń się za nami modlitwą do Boga, aby nam przywrócić raczył spokojność naszą doczesną i zbawienie wieczne!

Król zdumiony prostotą i świętobliwością Barnaby, czuł to sam u siebie, że źle zrobił, kusząc światowemi bogactwy święte ubóstwo, ale jako był dumny z natury i ze stanu swego, nie chciał się zaraz przyznać do winy, i mówił, że owe złoto zostawił na wybudowanie kościoła, w którymby niezadługo chciał widzieć odprawioną chwałę Bożą. Aliści miasto odpowiedzi, począł tu Barnaba gorzko płakać i znów się radośnie uśmiechać; czem król mocniej jeszcze zdumiony, zapytał się o przyczynę tego dziwnego płaczu i śmiechu. A Barnaba rzekł: — Płaczę, mój królu, nad straszną, choć sprawiedliwą karą, jaką Bóg w tej chwili braciom moim za ich przewinienie wymierza, a raduję się ze szczęścia, jakie ich czeka w niebiesiech! — I tu, duchem proroczym natchniony, oświadczył królowi, że dworzanie jego, widząc pozostawione braciom pustelnikom bogactwa, unieśli się chciwością i śpiących nocną porą napadli, a nie mogąc znaleść owych skarbów w żadnym domku pustelniczym, rozumieli że je gdzieś w ziemi zakopano, i męczarniami chcieli wymódz ich odkrycie; co gdy nie pomogło, przez złość, czy też z obawy, aby poznanych nie doniesiono królowi, wszystkich braci pomordowali okrutnie. — Widzę tę krew męczeńską! — wołał płacząc Barnaba; w tej chwili dokonywają swej zbrodni; — ostatni i najmilszy brat mój Mateusz upada pod żelazem zabójców. Ale Bóg sprawiedliwy nie dopuści im ucieczki, którą chcą się ocalić!

Król usłyszawszy to, natychmiast wysłał łuczników dla schwytania morderców, i wnet ukazała im się wielka światłość po nad puszczami i wiodła ich na miejsce dokonanej zbrodni. Była to łuna bijąca od chat podpalonych przez zbójców, którzy rozum utraciwszy, w koło nich biegali jak błędni z dobytemi i krwawemi mieczami, które im do rąk poprzyrastały. Nie wiedząc tedy dokąd uciekać, wnet się wszyscy dostali w ręce pogoni. Tej jeszcze nocy stawiono powiązanych przed królem,

który w gniewie okrótnym chciał wszystkich zaraz pościnać; ale Barnaba wstawił się za nimi i jako dobry chrześcijanin prosił o litość nad nieprzyjacioły; czego jednak król wysłuchać nie chciał, bo był twardej woli. Otóż wtedy Barnaba widząc, że u ziemskiego mocarza politowania nie znajdzie, upadł na kolana i gorąco modlił się do Boga, aby nie dozwolił zatraty tylu dusz grzesznych, które się pokutą i skruchą oczyścić jeszcze mogą na ziemi. A modlił się tak gorąco, że go Bóg wysłuchał i nowy cud pokazał, bo oto zaraz opadły kajdany z rąk i nóg winowajców; co gdy król ujrzał, poznał w tem wszechmocny palec Boży i przeciw jego wyrokom stawiać się nie śmiał i oddał Barnabie zbrodniarzy, którzy w nim zbawcę i świętego uznali i poprzysięgli nigdy go odtąd nie odstąpić. Jakoż udali się z nim na puszczę i tam nowy cud ujrzeli: bo oto owe domki, co tak jasno w nocy gorzały, teraz przez ogień nietknięte stały w całości. Wprowadzili się do nich nowi pustelnicy i ciężkiemi pokutami starali się sprawiedliwość Boską przebłagać; jako też Bóg pełen litości darował im ich winy; a ludzie pobożni do dziś dnia na miejscu dawnych domków pustelniczych utrzymują kaplice, do których często odprawiają pielgrzymki. *(Cz. P.)*

Co tam matula widziała na tamtym świecie?

.... Jużci umarłą opłakali ludzie, już mieli ją złożyć do trumny, wynieść na cmentarz wiejski pod kościółkiem — aż tu naraz zamknięte powieki zmarłej na oścież się rozwarły, patrzy na świat żywemi oczyma i do dziewuszki swojej, co ją miała zostawić sierotą, uśmiecha się mile.. bo nie umarła ona, jeno była w „zachwyceniu.“ I była radość u dziecka, widząc matusię żywą — i u matki taka sama radość, tuląc do piersi miłą dziecinę. A skoro się ludzie, co ją mieli chować do trumny, porozchodzili i pozostała sam na sam matula ze swojem dzieckiem, wtedy poczęły się między sobą rozmawiać. Dziewucha pyta: co tam matula widziała w zachwyceniu?... a matuś jej na wszystko odpowiada, jako że dziecię małe i niewinne, więc wolno jej było powiadać.

I takać była rozmowa:

Matulu moja, powiedźcie przecie,
Coście widzieli na tamtym świecie?

— O! moje dziecko, byłam ja w raju,
Gdzie drzewa rosną jak w naszym gaju,

Same jabłonie i wielkie grusze;
Na nich najczystsze umarłych dusze
Za dobry żywot, za świętą cnotę
Poprzemieniane w owoce złote,
Na cienkich prątkach pod liśćmi wiszą,
W ciepłem się słońcu pięknie kołyszą;
Ale ich z drzewa zrywać nie trzeba,
Bo zaraz lecą w górę do nieba.
Potem widziałam jasne niebiosy,
Ową pszenicę z złotemi kłosy,
Co się pochyla pod boże nóżki,
Oj! nie pszenica, lecz święte duszki.
Potem widziałam przeróżne kwiatki:
Te w bożych łąkach prześliczne bratki,
Co się na ziemi bardzo kochali,
A potem w niebie powyrastali.

— Mateńko moja, proszęż ja ciebie,
Co też tam robi pan Jezus w niebie?...
Co robi w niebie gwiazda zaranna,
Królowa nasza Najświętsza Panna?...

O! moje dziecko, o! kochające;
Jezus owieczki pasie na łące,
Jak śnieg bieluchny co skubią trawę,
I nie boją się, takie łaskawe —
A to są dusze błogosławione,
Które cierniową zniosły koronę.
Matka Najświętsza dla ludzkiej nędzy,
Wyrabia płótna ze śrebrnej przędzy;
I jużby wszystkie dzieci sieroty
Miały koszulki z owej roboty,
Gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej,
Nie psuł w powietrzu przędzy wiatr psotny,
Tych śrebrnych nitek babiego lata,
Co się na naszych płotach oplata.

— Matulu moja czyście widzieli,
Co też tam robią święci anieli?

— Anieli z nieba świecą nad nami
Bardzo wysoko temi gwiazdami,
A słysząc ludzi proszących głosy,
Z litości płaczą kroplami rosy;

Rosa upada na obszar ziemi!
I przez tę litość zboże się plemi.

— Jest też jak u nas matulu droga
Taka wesołość u Pana Boga?

— O! moje dziecko, jak ci się zdaje?
Musi mieć Pan Bóg, kiedy nam daje.

— A czy tam grają tak aniołowie,
Jak nasi wiejscy chłopcy w dąbrowie?

— O! jeszcze piękniej, jeszcze weselej,
Na złotych skrzypkach grają anieli.

— A gdzie się uczą przeróżnych pieśni?
— Tam gdzie się uczą ptaszkowie leśni
I nasi ludzie — w rumiannej zorzy,
We łzach radości, w miłości Bożej...

— Matulu moja, powiedźcie ino,
Widać tam naszą wioskę jedyną,
Naszą chałupę, bydło na smugu,
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewcze co zbiera ziele,
I tego dziada co przy kościele
Siedzi i w górę wyciąga ręce,
Na małym wzgórku przy Bożej męce?

— O! widać wszystko gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy;
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną,
A ile razy dobrzy, cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi. —

— Powiedzcież teraz, mateńko droga,
Co tam jest więcej u Pana Boga?

— Potem widziałam strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając wielką księgę otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą

Przewracał zwolna z smutkiem głębokim.
I patrzył na świat żałosnym wzrokiem.
Bo w owej księdze wszystko tam stoi:
Co tylko człowiek na świecie zbroi,
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko —

— Słuchajcie ino matulu droga,
Czyście widzieli i stwórcę Boga?

— Nie, moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem,
Tylko z promieni co ztamtąd lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże. —

— A jak daleko matko do nieba?
To pewnie z miesiąc iść tam potrzeba?

— Bogać tam miesiąc, o moje dziecie,
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł boży
Złocistym kluczem niebo otworzy.

Teofil Lenartowicz.

CIEMNA SIEROTA.

Powiastka.

I.

Pod lasem o parę stajów od wioski, stał dom gajowego, ładny i schludny, z ogrodzeniem porządnem, poza którem rozłożyła się śliwina i trześnie. Grządki opodal zarosła marchew, brukiew i inne warzywo, opielone starannie. Dalej nieco ziele-

niały się hojne ziemniaki, przy których niby stróż jaki, wysoko polna wystrzeliła grusza. Wszędzie znać było ład i porządek, i w pólku, i koło domostwa, i w ogródku i koło chlewików. Boć też tam skrętna zawodziła gospodyni, pani Tomaszowa, matka gajowego Franciszka Mikity.

Skrzętna była i zaradna a pracowita gdyby mrówka, od świtu do ciemnej nocy miru sobie nie dając; aleć też i swarliwa przytem i złośnica nie lada. Najbardziej doznawała tego sierotka po jej siostrze rodzonej, Polusia, — bo co Franciszek, to sobie nie dał bardzo w kaszę nadmuchać: gdy matka swarzyć poczęła, to i nacisnął czapkę na uszy, począł gwizdać, i dalej sobie w las; a kiedy mu doskwierała za nadto, a był zmęczony i chciał w domu wypocząć, to jak krzyknie i odgryzie się, to i zaraz umilkła pani Tomaszowa, jeno potem gdzie na stronie biedną wyczubiła sierotkę.

Polusia istnem też była popychadłem, a jeszcze przytem i ciemną co się zowie. Czyli to z urodzenia, lub też z jakiego wypadku, niewiadomo. Powinni byli wszyscy mieć wzgląd na to jej nieszczęsne kalectwo, ale nikt i nie dbał o nią — zwyczajnie jak o sierotę. Toćże takie Bóg tylko miłuje — ludzie, zwyczajnie jak ludzie! niezawsze to czynią ze złego serca, ale za nic mają uznania i upamiętania. O, boć też każdy człowiek przy każdym świętym pacierzu modlić się powinien o uznanie i upamiętanie: bez uznania i upamiętania nigdy nic dobrego nie będzie, bo kto grzechu swojego nie uzna, nie poprawi się rychło.

A więc wszyscy nad biedną, sierocą i ciemną przewodzili dzieweczką: nasamprzód pani Tomaszowa, potem Franciszek, dziewka, parobczak a nawet pastuszek. Wszyscy dobrze widzieli i oglądali piękny świat Boży, i jasne słonko, i gwiazdy błyskotne, — a dla niej ciągła pozostała ciemność.

Oj, litość-że i żal szczery nad każdem kalectwem do serca ludzkiego przemówić powinien. Pan Bóg niedościgły w swoich wyrokach zsyła chorobę, kalectwo i niedolę, nie ażeby tem karał, ale raczej nawiedzonych doświadcza, czy też zniosą w pokorze co na nich dopuścił dla przyszłego ich dobra. To też mówią: Bóg nawiedził, gdy kogo jaka dotknie niedola — a jako Bóg nawiedzi, tak też i pocieszy.

Słonko jasno świeciło i już zbliżało się do południa. Przed domostwem gajowego ładne czternastoletnie siedziało dziewczątko. Jasne włosy miała w długi spleciony warkocz, biała na niej była koszula, spodnica ciemna i zapaska w białe i czerwone prążki pomalowana. Ładną dziewczynkę krasił świeży rumieniec — lecz oczów jej nie widziałeś, bo powieki miała przymknięte. To była Polusia — siedziała na kamieniu, pochylona i smutno dumała Pewnie tam różne przeróżne a żałośne w jej głowinie roiły się myśli, że i sama by ich żywym głosem nie umiała powtórzyć. Czekała ot właśnie na rozkaz gospodyni, by Franciszkowi jak zwykle ponieść objad w dwojakach do lasu.

A jakżeż ona tam do niego trafiła? — zapytacie pewnie. Ot, prowadzili ją z początku, aby się nałożyła, dawali jej szturkańce, popychali i krzyczeli — potem już i sama chodziła, miarkując się po drzewach, a Franciszek zawsze w jednem i tem samem czekał ją miejscu. Wysyłano ciemną, ażeby widzący nie wadzili sobie.

— Hejże, Polusiu! — zawołała gospodyni niezadługo, wybiegając na próg — no i czegoż tak siedzisz ślepy leniuchu, gdyby *omacmica* jaka!

Dziewczę się porwało, przetarło oczy niby ze snu, i jakoś jęknęło żałośnie.

Pani Tomaszowa podała jej dwojaki.

— No, leź-że, a zwijaj się co ducha, bo tam Franuś pewnie już czeka zgłodniały nieboże.

Polusia szła z dwojakami ponad płotem chróścianym, a potem kierowała się drogą w las, tuż przy samych drzewach. Była ona dziś smutniejszą jak zwykle; może jej przyśniła się matka, ojciec, którzy ją odumarli tak wcześnie; może ciotka dzisiaj więcej łajała; może dziewka na nią fuknęła — któż to tam wie!

Słońce jej doskwierało, a nie widziała go. Sosny i dęby szemrały ponad jej głową, a tylko pnie ich pomacać mogła. Ptaszki w koło niej śpiewały — a tych nie mogła dotknąć. Jeszcze to jeszcze kwiatki i zioła — bo chociaż ich barwy i kształtu nie znała, to wszelako tak pięknie pachniały, że aż jej milej na bożym było świecie. Toć że je i do ręki wziąść i popieścić mogła i przycisnąć do piersi — do czoła — do oczów.

Szła i szła dalej zadumana smutno, zapominając nawet, że objad dla Franciszka niesie. Aż tu naraz jeden, gdzie się obróci to o jakieś wielkie potrąci drzewo — a stały one i gęsto, i mnogie miały gałęzie. Zniża się, maca po ziemi — wrzos — igliwie — nigdzie drożyny domacać nie może. Wraca, kieruje się na prawo — na lewo — wszędzie las gęsty. Poczęła wołać — krzyczeć — a własny jeno odpowiadał jej odgłos. Biegała tam i sam, potrącając o gałęzie, kalecząc sobie bose nogi i gołe ręce. Zapłakała gorzko — modliła się gorąco, aż wreszcie strasznie znużona siadła. Potem jeszcze biegała, wołała — ale wszystko napróżno. Nic nie widząc ani wiedziała, czyli to dzień jeszcze lub wieczór już zapadł, bo czas wydawał się jej straszliwie długim, odkąd z domu wyszła. Poczuła i głód, lecz za nic w świecie nie byłaby objadu naruszyła Franciszkowi.

Dzień-że to jeszcze lub wieczór? — zapytała sama siebie — i ogarnęła ją okrutna przed nocą trwoga. Strachy nocne — dzikie zwierzęta — wilki — wszakżeż to wszystko stokroć straszniejszem było od gniewu i kułaków ciotki. Toćże się na myśl taką i jeść odechciało. Znowu zapłakała — pomodliła się — a po gorącym paciorku to i jakaś lepsza w nią wstąpiła otucha. Przypomniała sobie święte słowa księdza proboszcza w Sosnowej, posłyszane na kazaniu: „jako Bóg Ojciec w Niebie o żadnem stworzeniu swojem nie zapomni nigdy, ani o ptaszku malutkim ani też o najlichszym robaczku. I tyle tylko włoży na ramiona ciężaru, ile człek unieść go podoła. W każdej zaś niedoli, ucieczka do Najświętszej Matki Chrystusa, tej prawdziwej Królowej korony polskiej, wielką przynosi pociechę.

Polusia przypomniała sobie tutaj pieśń prześliczną, której ją kwestarz od XX. Bernardynów, ksiądz wikary był nauczył. Zawitał on po zwyczaju zawsze parę razy w roku do domu gajowego Franciszka Mikity, widział smutne, ciemne dziewczątko, litował się nad niem — i nauczył ją za każdym razem albo modlitwy ładnej, lub też jakiej prześlicznej pieśni.

A więc uspokojona paciorkiem, Polusia zaśpiewała pieśń do Matki Boskiej:

Ty, któraś pięknie dni swoje skończyła,
I w Palestynie szczęśliwie zasnęła,
Daj dobrze skonać bez zmazy poczęta,
Panienko święta!

A kiedy przyjdzie ostatnia godzina,
Uproś nam łaskę u swojego syna,
I żal za grzechy, bez zmazy poczęta,
Panienko święta!

Kiedy nam język śmiertelność skrępuje,
I myśli nasze rozum rozwiązuje,
Uproś nam skruchę, bez zmazy poczęta,
Panienko święta!

Twój Syn a Bóg nasz był przy zejściu Twojem —
Gdy będziem konać, świętem ciałem swojem
Niech nas posili, bez zmazy poczęta,
Panienko święta!

Pieśń ta długą jest jeszcze i Polusia prześpiewała całą. Potem większe jeszcze opadło ją znużenie, położyła się na ziemi, mchem i wrzosem porosłej, i zasnęła. Nasamprzód zdawało jej się, że znowu biega po lesie i że szuka Franciszka; że usiadła pod drzewem i zmówiła paciorek. Aż tu wielka uderzyła ją jasność — ukazała jej się pani prześliczna — i niby ją dobrze widziała — posłyszała jakieś cudowne śpiewanie, a potem te słowa: „Bóg dobry ulitował się nad Tobą!“ — padła na kolana — i nic już nie słyszała więcej.

II.

W tym czasie kiedy Polusia błądziła, zajechała piękna bryczka do lasu, i wysiadło z niej dwóch młodych panów, jedna pani w średnim wieku będąca, i dwie młode panienki. Panią była dziedziczka Sosnowej pani Sosnowska, jedną z panienek była córka jej, panna Marynia, a drugą, panna Zofia, córka od rodzonej siostry. Jeden z paniczów był pan Jerzy, brat rodzony panny Zofii, a drugi przyjaciel jego, młody doktor, który tylko co nauki za granicą był skończył.

Całe to towarzystwo wyjechało sobie na spacer do lasu.

Panienki były wesolutkie, młodzi panowie toż samo, to i chichotali się ciągle i różne wyprawiali żarciki.

Na raz jeden odezwał się zdala śpiew jakiś prześliczny.

— Cicho! — zawołała Zofia — cicho! czy nie słyszycie?

— Śpiew!... pieśń do Matki Boskiej! — dodała Marynia, i obiedwie panienki nabożnie dłonie złożyły.

Po chwili ucichło — a wszyscy słuchali jeszcze, tak dźwięcznem było to śpiewanie.

— Kto też to? — zaczęła znowu Zofia — poszukajmy śpiewaczki.

Panienki wzięły się za ręce i dalej w las pobiegły — a idąc śpiewały tęż samą pieśń, którą co dopiero słyszały. Za niemi szła pani Sosnowska i młodzi panowie.

— Długą chodzili chwilę a nie spotkali nikogo.

— Rzecz dziwna — ozwała się Zofia — wyraźnie z tej strony śpiew dolatywał.

Puściły się dalej i otóż pod krzewiną, na mchowem posłaniu leżało uspione dziewczę.

— Mój Boże! — wymówiła Marynia — zasnęła, prześpiewawszy pieśń na cześć Najświętszej Panny.

— Ale co tutaj robiła w tej gęstwinie sama jedna biedaczka? — zadziwiła się Zofia.

— Dwojaki z jedzeniem stoją przy niej — wskazała Marynia.

— Może zabłądziła. Och, nie budźmy jej! wymówiła Zofia ciszej. — Siadajmy i poczekajmy dopóki się nie obudzi.

Panienki usiadły o podal, a w tem też pani Sosnowska z panami nadeszła. Marynia zrobiła im znak, aby byli cicho i pokazała im spiącą. Szmer ten wszelako zbudził Polusię, porwała się nagle, usiadła i potarła dłońmi czoło, jak gdyby sobie przypomnieć chciała, co się z nią działo.

— O Boże, o Boże! — jęknęła nagle załamując ręce — o Matko Najświętsza ratuj! — macała w koło, podjęła dwojaki i powstała; poczęła macać po drzewach — i zapłakała.

— Ona nie widzi! — poszepnęła Zofia ze łzami.

— Nie widzi! — powtórzyła za nią Marynia z politowaniem serdecznem.

— Co to? kto to? — krzyknęła Polusia przerażona, dosłyszawszy te szepty, i aż się potoczyła z przestrachu, lecz ją uchwycił za rękę pan Jerzy i od upadku ochronił.

— Nie bój się, dzieweczko — ozwała się pani Sosnowska, przystępując bliżej, i położyła rękę na jej ramieniu — nie bój się niczego. Pewnie zabłądziłaś w lesie?

— Zabłądziłam... Ale któż wy tacy? — zapytała Polusia.

— Jestem dziedziczką Sosnowa — odrzekła pani — i zawiozę cię do domu.

— Oj, będąż mi wymyślali, będą! — zapłakała dziewczyna, bo teraz gdy niebezpieczeństwo minęło i już jej nie trwożyły strachy leśne i wilki, — to i lękała się znowu bardziej przyjęcia w domu i kułaków pani Tomaszowej.

— Czyja-żeś ty? gdzie rodzice twoi? — zapytała Zofia.

— Sierotam!... Nie mam ni ojca ni matki. Jeno mi ciotką Tomaszowa, matka gajowego Franciszka — odrzekła Polusia.

— Biedna, ach biedna! — zawołały obiedwie panienki.

Tymczasem młody doktor przystąpił i począł przypatrywać się dziewczęciu. Wypytywał ją — a potem znowu uważnie patrzał jej się w oczy.

— Mój Boże! westchnęła Zofia — sierota, ciemna, a może nie ma ni brata ni siostry!

— Oj nie mam, moi ludzie, ni siostry, ni brata! — odrzekło dziewczę płaczliwie.

— Nieboraczka! — westchnęły znowu obie panienki.

— To dziewczę przewidzieć może! — zawołał doktor nagle — ja biorę tę kurację na siebie.

— O Boże! o mój Boże! — krzyknęły panienki, radośnie klaskając w dłonie, a Polusia przyklękła i aż się rozpłakała nieboga.

Doktor począł jeszcze wypytywać się, badać, przypatrywać się oczom Polusi, i raz wtóry wyrzekł, że jej wzrok przywróci.

— Biedaczka ma pokaleczone nogi i ręce — litowała się nad nią Zofia.

— Może ty i głodna, dzieweczko? -- przemówiła pani Sosnowska, spojrzawszy na nienaruszone dwojaki.

— A wszakżeś mamy podwieczorek z sobą, to i posili się z nami — odezwał się pan Jerzy.

— Wracajmyż do bryczki! — zawołały panienki, ujęły Polusię pod ręce, i powiodły ją ze sobą.

Po dobrym podwieczorku powsiadali wszyscy do bryczki, i pojechali do sosnowskiego dworu. Ztamtąd posłała dziedziczka do Tomaszowej, i kazała jej powiedzieć, co się stało ze zabłąkaną Polusią; że ją przy sobie zatrzyma, by jej pan doktor wzrok przywrócił.

Pani Tomaszowa nakręciła głową, namruczała sobie pod nosem, zbiła dwa garnki i jedną miskę, wykrzyczała dziewkę i wyczubiła pastuszka — ale cóż było począć? nie mogła przeszkodzić szczęściu Polusi.

A wielkiem też to było dla sieroty szczęściem, że się w tak dobre dostała ręce; znać Matka Boża to zrządziła, do której dziewczę zawsze tak gorące miało nabożeństwo.

Doktor niebawem kuracyę rozpoczął.

Polusia używała wszelkich we dworze wygód, a przytem nauczyły ją panienki opowiadaniem swojem różnych prześlicznych rzeczy. Opowiadały jej historję świętą, stary i nowy testament; żywoty wielu Świętych pańskich — a potem nauczyły ją i dziejów kraju naszego polskiego. Najbardziej jej się podobało, gdy panienki o królowej Jadwidze mówiły.

— To była święta! poszepnęła pobożnie.

Tak upłynęło kilka miesięcy, gdy dnia jednego doktor zdjął jej w ciemnym pokoju przepaskę z oczów, którą od kwartału ciągle nosiła. Coś tam znowu koło oczów jej zrobił, jak to już nieraz bywało. Potem zaczął zwolna troszeczkę wpuszczać światła — gdy w tem Polusia, drząc cała, głośno krzyknęła:

— O Jezu! Matko przenajświętsza! — ja widzę! — złożyła ręce i na kolana upadła.

Wielka też ztąd była radość. Panienki płakały i tańczyły z uciechy — i o mało, że za szyję nie uściskały doktora, któremu pani Sosnowska błogosławiła ze łzami.

Powoli przyzwyczaiła się Polusia do światła dziennego. Panienki nauczyły ją pończochy robić, szyć i czytać na książce. Pozostała się i nadal we dworze, a niekiedy odwiedziła ciotkę i zawsze jej jaki podarunek roboty swojej zaniosła. Pani Tomaszowa była jej za każdym razem rada.

W lat kilka później, gdy Marynia już była panią Jerzową a Zofia panią doktorową, wydała pani Sosnowska Polusię za karbowego w Sosnowej, człowieka poczciwego bardzo i dbałego o dobro wszelakie.

Tak to Bóg dobry za przyczynieniem Matki Najświętszej ciemną pocieszył sierotę.

Siekierki w Paźdz. 1859. Paulina z L. Wilkońska.

RÓŻNOŚCI.

Jak Iwaś Facuła przyszedł do swoich pieniędzy. Biedny Iwaś Facuła nie mógł sobie dać rady z ludźmi i żoną. Kiepkowali sobie z niego w żywe oczy że sprzedawszy prosiaka nie wiedział co zrobić z pieniądzmi, a pożyczył je na wieczne nieoddanie cyrulikowi z miasteczka, coć był pijak a ladaco, że poły urywaj a uciekaj za góry i lasy. Frasował się biedny Iwaś a markotny na gadaniny i drwiny ludzkie jął myśleć a myśleć jakby to przecie przyjść do swego. I oto raz zrywa się z łóżka ucieszony i uradowany jakby go kto na sto koni wsadził. Nie rzekł nic ani żonie ani sąsiadom, ale co tchu przywdziewa na siebie sukmanę świąteczną i wali do miasteczka. Nad wieczorem wrócił, ale aż się przestraszyli sąsiedzi tak się zmienił do niepoznania. Blady, zgarbiony, ledwie nogi wlókł za sobą, a kijem się wspierał, i cały chwiał się jak trzcina.

Dla Boga! co wam się stało? czyście zaniemogli raptownie? pytają wszyscy. A Iwaś się tylko uśmiechnął i jął marchewkę skrobać znajomym.

— Ha, ha, zawołał, śmieliście się ze mnie, powiedzieliście że jak swego ucha nie obaczę nigdy pieniędzy, com pożyczył cyrulikowi. Otóż widzicie przyszedłem do swego.

— A to jak? pytają wszyscy rozciekawieni. Iwaś podniósł się na palcach i z dumą pokręcił głową. Zaszedłem z mańki niecnotę — rzekł — kazałem się ogolić, obstrzydz, pijawki przystawić, krew puścić z obu ramion, bańki wsadzić na plecy i dwa zęby wyrwać. Żeby przyszło do obrachunku, tobym mu sam musiał jeszcze pewnie dopłacić, bo powiadam wam oba zęby były zdrowe jak orzechy i siedziały tak mocno w szczece, że psiawiara dwie godzin ciągnął i ciągnął nim wyrwał jeden i drugi. Aż tu dopiero teraz wszyscy w śmiech na umor, że biedak nietylko nie dostał ani szeląga, ale się jeszcze dał męczyć i dręczyć jak w czyscu. I długo w całej okolicy nie mówiono o niczem, tylko o tem, jak Iwaś Facuła przyszedł do swoich pieniędzy.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Słowo szkody nie nagrodzi.
2. Nie rzucaj kości między psy.
3. Nie patrz na postawę, lecz na człeka sprawę.
4. Nienawiść znajdzie winę i do krzywdy przyczynę.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**